



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY  
Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół, kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

### PIEŚNI WIECZORNE.

#### I.

Zmierzch przejrzysty, zmierzch majowy,  
Obłęknił świat...  
Cisza bije mi do głowy  
Pieśnią pól i chat.  
Słyszę, słyszę gdzieś w przestrzeni  
Tajnych hasel ruch;  
Łzy otrzyście uciśnieni:  
Oto idzie duch!

Mgły przezrocze, sny prorocze,  
Nowy wieszczą dzień.  
Świt gdzieś w różach się trzepocze,  
Choć go więzi cień.  
Spocznij, spocznij, serce drżące!  
Ból się kończy ten...  
Oto w zmierzchach gaśnie słońce,  
Idzie cichy sen!  
Nędze ziemi nad smutnemi  
Krótko mają moc.  
Oto skrzydły gwieździstemi  
Letnia spada noc...  
Przez mgły kędyś, przez tumany,  
Słychać wiejski dzwon.  
Spocznij, duchu spracowany:  
Przyjdzie, przyjdzie skon!

#### II.

Pójdę ja, pójdę drogą daleką,  
Po górach wichrem, w nizinach rzeką,  
Przed chaty pieśnią, po polach ciszą,  
W której się falą kłosa kołyszą.

Pójdę ja, pójdę, szumem po boru,  
Gościńcem we dnie, ścieżką z wieczoru,  
Po łąkach pójdę przedzą pajęczą,  
W pogodę zorzą, po deszczu tęczą.

I jako szare, znajome ptasze,  
Oblecę każde nędzne poddasze.

Po wioskach pójdę snami cichemi,  
Po myślach gwiazdą, co w dali mruga  
I tak po całej obejdę ziemi,  
Jako szeroka—i jako długa!

I zbiorę gorzką łez ludzkich rosę,  
I w obu dłoniach pełnych poniosę  
Do tych dalekich świtu promieni,  
Co się to od nich wschód rankiem mieni.

Może wypije łzy jasność cicha  
Z dłoni mej, jako z kwiatków kielicha!

#### III.

O, gdybyś ty, jasne słońko  
Wiedziało,  
Co na ziemi jeszcze cienia  
Zostało,  
Nie padałobyś tak rychło  
Za góry,  
Za te sine mgły, co kryją  
Lazury!

Krótki dzionek do wieczora  
Od wschodu!  
Nie roztaje pierś zakrzepla  
Od chłodu;  
Nie nabiorą światłem myśli  
Człowieka,  
Kiedy słońko tak nam prędko  
Ucieka!

Oj, żeby to już nad ludźmi  
Smutnemi  
Uderzyła jasność ducha  
Po ziemi!  
Żeby w światło się podniosły  
Powieki.....

Marya Konopnicka.



## PODANIA O ŚPIĄCYCH RYCERZACH

przez

Bronisława Grabowskiego.

Umarł! jakież to bolesne słowo! Wiemy, że nadto dobrze, iż człowiekowi nie dana jest nieśmiertelność, że prędzej czy później musi nadejść kres ziemskiej pielgrzymki każdego i nas samych: wszakże codzien dookoła ludzie umierają; osławiamy się ze wszystkimi, z najprzykrzejszymi udręczeniami nawet; z jedną tylko śmiercią oswoić się nam niepodobna. Kiedy poglądamy na ostygłe już zwłoki drogiej osoby, jakże nam trudno, okropnie, godzić się z myślą, iż rzeczywiście a nieodwołalnie spełnionym został wyrok fatalny, że nieubłagana posłanniczka przeznaczenia, jakiego nikt uniknąć nie zdoła, była już i odeszła, dopełniwszy niemiłosiernie zadania swego. Nie, nie umarł, ale śpi—wmawiamy w siebie tę złudną pociechę i chodzimy przez chwilę cicho, na palcach koło trupa, jakgdybyśmy lekali się zakłócić jego sen ostateczny, aż naraz żal nasz wybucha tak głośnym jękiem i płaczem, iż z pewnością zbudziłby śpiącego, gdyby w tym śnie było... przebudzenie. Odszedł, już nie powróci! Jakaż to myśl uciążliwa, nieznośna; oileż byłaby nieznośniejszą, straszliwszą, gdyby łączyła się z tym dodatkiem: nie powróci, bo już nie istnieje wcale. Zaiście, wielka, głęboka filozofia leży w tych słowach: „Człowiek zdołałby może obejść się bez nieśmiertelności dla siebie, ale bez nieśmiertelności dla drogiego sobie obejść się nie zdoła“.

Tożsamo, co w pojedynczej rodzinie, powtarza się w wielkiej zbiorowej rodzinie... w narodzie. Po stracie ukochanego monarchy, wielkiego bohatera, lud cały staje, niby ogłuszony strasliwym ciosem, i długo nie chce uwierzyć, że opadła bezwładnie ręka, co energicznie berło lub miecz dzierżyła; że zamilkły usta, co tłumy zagrzewały do czynu, lub sprawiedliwe wydawały wyroki; że niepokonany zwycięzca natrafił wkońcu na wroga, który go pokonał w boju, po jakim niema odwetu. Nie, nie umarł ojciec nasz, obrońca, pan przemożny, bojownik niezwykły: on odszedł tylko, powróci znowu, aby świetniejszych jeszcze dokonywać czynów. I lud czeka, a w dobie utrapień i klęsk ciężkich pociesza się nadzieją, że tam gdzieś w odludnem ustroniu, w głębi nieznannej skały, śpi bohater z drużyną i zbudzi się w ten dzień, w którym uciśnietemu narodowi będzie... najgorzej.

Niema prawie ludu, któryby nie posiadał w podaniowym skarbcu takiej mytycznej postaci. Najślawniejsi monarchowie i wojownicy średniowieczni według wiary ludowej żyją, zamknięci w głębiach skały, oczekując nadejścia godziny, co ich znowu do życia i czynu powoła.

Tak w mytycznej skale, zwanej Odenberg (widocznie góra Odina), śpi obrzym dziejów średniowiecznych, odnowiciel Cesarstwa Rzymskiego, potężny piastun uniwersalnych jego idei — Karol Wielki. Według podania, u stóp owej góry, Karol W. stoczył ostatni bój, w którym krew lała się takimi potokami, że te aż w ziemi głębokie brzoźdy wyrwały. Pobiwszy wroga, wieczorem dnia tegoż wraz z wojskiem wszedł we wnętrze skały, zamknął się w niej i spoczywa teraz po długoletnich trudach i wyprawach. Co siedm lat wychodzi na świat Boży. W powietrzu rozlega się huk bębnow, rzenie koni, szczeł broni i podków; orszak cały kroczy do potoku Glisborn, tam poi rumaki i znowu powraca do swej skalnej siedziby. W pewne dni roku zaczarowane góry otwierają się i śmiertelne oczy mogą ujrzeć starca z długą brodą, z koroną cesarską na głowie; siedzi na pierwszym miejscu przy stole, dookoła stołu paladynowie i wojownicy w zbrojach bojowych — wszyscy pogrążeni w śnie głębokim. Broda długa rośnie ciągle, a skoro trzykroć stół obwinie, Karol W. zbudzi się i zastępy śpiące z nim razem do nowego wprowadzi boju. Czasami szcze-

śliwym losu wybrańcom udaje się nadprzyrodzonym sposobem dostać się do zakłętą bohaterów schronienia; witają oni gościa uprzejmie, bo w nich wygasła dzikość i srogość ziemską, a pozostał tylko wzniosły majestat, tak snadno łączący się z przymiotem, piękną ozdobą duszy męskiej, z... łagodnością. Pewnego razu kowal jakiś szukał w krzakach na Odenbergu rękojeści do młotka. Wtem otwarła się przed nim rozpadlina w skale i kowal znalazł się w czarodziejskiej pieczarze. Potężni bohaterowie grali w kręgle wielkimi żelaznymi kulami i zapraszali do gry przybyłego, ale ten kuli podnieść nie zdołał. Pozwolili mu wybrać jedną z nich i zabrać z sobą do domu; kowal skorzystał z pozwolenia, a gdy kulę tę, rozpaloną do czerwoności, chciał przekuć na kowadło, nagle w szczerze zmieniła się złoto.

Podobne podania odnoszą się do kilku władzców germańskich, do Henryka zwanego Ptasznikiem, do Ottona Wielkiego, a szczególnie do Fryderyka Rudobrodęgo. Ów najpoetyczniejszy z cesarzów niemieckich, okrom tego, że blaskiem czynów wojennych niemały urok na umysły wywierał, miłym jeszcze był narodowi, jako obrońca uciśnionych, postrach burgrawów, tych istnych zbójców, urągających prawom bożkim i ludzkim, dla zysku lub zemsty więzących ludzi w podziemiach warownych zamków swoich. Niespodziany zgon dzielnego starca na wyprawie krzyżowej, w nurtach Kalicydnusu, zdawał się fantazyi narodu czemś nieprawdopodobnym, niemożliwym; oczekiwano, że wróci do domu tak, jako w 300 prawie lat potem u nas wyglądało młodzieńczego Jagiellończyka, na Warnęskich ległego polach. A gdy nadzieja ta okazała się płonną, jeszcze lud nie pogodził się z myślą o jego zgonie i kazał mu spać tylko w Turynii, w górze zwanej Kifhäuser.

Tam, w podziemnej pieczarze, siedzi w gronie rycerzy i giermków przy okrągłym kamiennym stole, z głową wspartą na rękę; broda jego już dwakroć obwinęła się koło stołu. Nieopodal stoją rozpetane konie przy żłobach, w których leżą ciernie miasto siana. Pieczara odznacza się niesłychanym przepychem, jakiego nie znajdzie nawet na dworze najbogatszego, najpotężniejszego monarchy; jasno w niej, jak w dzień biały; ściany błyszczą od złota i drogiej kamieni, a pod ścianami stoją wielkie beczki, pełne najprzedniejszego wina. Razu pewnego pastuszek jakiś zbłąkany dostał się do pieczary; Fryderyk zapytał go: „Czy kruki latają nad skałą?“ Usłyszawszy potwierdzającą odpowiedź, cesarz napomknął, że całe sto lat jeszcze spać musi. Pastuszek zaprowadzono do zbrojowni i podarowano mu nóżkę od puharu, a ta była ze szczerzego złota.

Podanie owo ma wiele wariantów, przedstawionych poczęści w znakomitem dziele Jakóba Grimma: *Deutsche Mythologie*. Jedno z podań powiada, że na Wasserfeldzie stoi suche drzewo; trzykrotnie już było ścinane, za każdym jednak razem korzeń nowy puszcza odrostek. Skoro kiedyś wyrośnie i bujnym okryje się liściem, wstanie ze snu cesarz Fryderyk, powiesi tarczę na cudownym drzewie i rozpocznie bój straszny; wojownicy we krwi brodzić będą. Wynikiem bitwy będzie zwycięstwo dobrych nad złymi i wyzwolenie Grobu Świętego z rąk niewiernych. Inne, południowo-saskie podanie mówi, że w Holsztynie pod jakimś kościołem korzeń dębu corocznie świeży wypuszcza odrostek. W noc na Nowy Rok przyjeżdża na białym koniu jeździec biało odziany i stara się zrąbać ów odrostek; w tejże chwili zjawia się drugi, w czarnej szacie i na czarnym koniu, i nie dopuszcza białego do korzenia. Po zaciętej walce biały zwycięzca czarnego i odcina odrostek; ale nadejdzie kiedyś dzień, gdy zwycięstwo pozostanie przy czarnym, wtedy z korzenia wyrośnie dąb tak wysoki, że pod nim można będzie przywiązać konia. Ze skalnego schronienia wyjdzie cesarz naczelną drużyną, konia przywiąże do dębu i wtedy rozpocznie się bój ostateczny. Inne podania bój ten łączą z pojęciem końca świata. Skoro broda Fryderyka (a według innego wariantu Karola Wielkiego) poraz trzeci obwinie się koło stołu, pojawi się Antychryst, trąba archanielska ludzi na sąd ostateczny powoła, śpiący monarcha zbudzi się z wiekowego snu swego i stanie do strasznej, krwawej bitwy.

W plemienu celtyckim znajduje się także podobnie zachowany bohater; jestto ulubieniec poetów średniowiecznych, bohater tyłu podań i romansów, król Artus ostatni wolności brytańskiej wobec najazdu anglosaskiego obrońca. Śpi on w górach Eildon-hills; czasami jednak niepoznany między ludzi wychodzi. Jakiś ujeżdżacz sprzedał nieznanemu starcowi konia; po zapłatę za niego starzec kazał mu iść za sobą w pomienione wyżej góry. Sprzedający szedł za starcem przez cały rząd żłobów, przy których stały nieporuszenie rumaki, u nóg ich zaś spali wojownicy. W końcu podziemia wisiał miecz i róg. Przybysz ziemski wziął róg do ręki, zatrąbił: wnet rozległ się tentent koni, wojownicy zerwali się na równe nogi i oręż ich wydał szczeł przeraźliwy.

Pozostawiając resztę podań zachodnich na boku, przejdźmy teraz do podań u ludów słowiańskich. Przedewszystkiem do tej kategorii należy piękna baśń nasza o „rycerzach Trzebnickich“, którą czytamy w zbiorze Romana Zmorskiego (str. 61). Podanie to nie wymienia wyraźnie żadnej historycznej osoby, ale ma za przedmiot hufiec rycerzy szląskich, co stawili czoło strasliwej najezdniczych Tatarów potędze. Bronili oni, według niego, Trzebnicy, słynnej ze swego klasztoru fundacyi Henryka Brodatęgo, w którym-to klasztorze dokonała żywota święta księcia małżonka, Jadwiga, matka Pobożnego, co zakraja i chrześcijaństwo dał życie pod Lignicą. W bitwie pod Trzebnicą drobna, ale mężna garstka obrońców wiary i ojczyzny wyginęła co do nogi, z wyjątkiem ciężko ranionego dowódcy. Święta Jadwiga uprosiła u Matki Bożej powrót do zdrowia wodza, a do życia jego żołnierzy. W ogromnej jaskini pod kościołem Trzebnickim leżą oni żywi, ale w głębokim śnie pogrążeni; czuwa tylko wódz, siedzący na kamieniu i pobożnie odmawiający różaniec. Dawniej jaskinia była niezbyt głęboko pod ziemią; to też zdarzyło się, że jakaś dziewczyna weszła do niej przypadkiem. Przerażoną wódz uspokoił, zalecił przytem, aby, wychodząc, nie poruszyła dzwonu, który wisiał u wnijścia do pieczary. Lekkomysłna swywolnica, ochłonawszy z przestachu, zadzwoniła naumyślnie: na odgłos dzwonu zerwali się rycerze i za broń pochwycili. Wszelako nie była to przeznaczona na ich czyn orężny godzina: ukladli się więc napowrót do snu wiekowego; ale rozgniewani na lekkomyślność ludzką, zamknęli się głębiej pod ziemią i od tam już ich niczyje oko nie oglądało. Nikt nie wie, kiedy powstaną; będzie to w dobie walki za wiarę; wtedy sam do wódzca w dzwon uderzy i drużynę swą do zwycięskiego poprowadzi boju.

Porównyując nasze podanie z pokrewnymi mu zachodnimi, widzimy, że jeżeli pod względem zewnętrzny, że tak powiem, scenicznego, efektu im nie dorównywa, to pod względem głębokości etycznej prawie je przewyższa. Jest coś niesłychanie wzniosłego w tej prostocie szczegółów; głęboko wzrusza nas ten wódz, siedzący na kamieniu i odmawiający różaniec, czuwający nad swą drużyną, niewątpliwie dla tego, by nieomieszkąć przeznaczonych chwili. Duch religijny narodu przejawia się w szczegółkach podania, jakich u innych narodów niema.

Ów dzwon, mający wywołać do walki wojownika przeszłości, znajdujemy jeszcze w innym podaniu, które przytaczam z pamięci, nie mogąc sobie żadną miarą przypomnieć, gdzie je czytał. Dzwon taki wisiał podobno nad mogiłą Czarnieckiego, który przed śmiercią kazał go tam zawiesić z poleceniem, by uderzyć weń w ciężką dla ojczyzny chwilę. Jeden z obecnych przypominał sobie zmarłego zlecenie, zadzwonił więc w dzwon i grób otwarł swe łono, a z niego wyszedł ten, co był ani z roli ani z soli, ale z bólu i trudu. Stary tyłu wrogów pogromca powiódł sokolem okiem po świecie i grobowym zapytał głosem: „Gdzież są hufce, którym przywoździć będę?“ Ale na to pytanie odpowiedzi nie było: Czarniecki rzekł więc surowym głosem: „Zbierzcie wprzódy orężnych, ustawcie szyki, a potem wołajcie wodza, by ich wiódł do boju“. I umarły bohater z głuchym jękiem do mogiły powrócił.

O Wawelu górale opowiadają sobie, że pod nim w ziemi, pod najgłębszym sklepieniem, jest także sam zamek jak na górze, tylko jasny, wesoły,



wspaniały i ozdobny. W nim znajduje się sala, przestronna, niby kościół, a w niej pełno zbroi, tarcz, szabli i chorągwi. Wpółrodku stoi stół, a dokoła siedzą wszyscy dawni królowie w koronacyjnych szatach. Raz na rok ludzie słyszą tentent i rżenie koni, głos trąb i gwar ludzki i wtedy jeden z monarchów (najprędzej Bolesław Wielki) wynurza się z głębi zamku o północy i żelaznym krokiem chodzi po podwórcach zamkowych z mieczem na ramieniu, błyszczącym niby miecz archanioła. Jeśli spotka go jakiś śmiertelnik dobry i sprawiedliwy, widok króla serce jego radością napętnia; zły nie zobaczy go wcale, ale ogarnia go takie uczucie strachu, iż rozum postradać może.

Piękną bardzo legendę posiadają Czesi w swej baśni o rycerzach zamkniętych w górze Blaniku. Góra ta leży o cztery mile od słynnego w dziejach miasta Taboru, założonego przez mężne i pobożne drużyny husyckie, którym ślepy Żyżka przywoził. We wnętrzu góry spią rycerze, niegdyś poległi w boju, rozłożeni po ziemi i po ławach kamiennych; obok jednych leży oręż, z bezsilnej wypadły dłoni; inni wspierają się na mieczach; są i tacy, co siedzą na koniach z głową na karkach końskich złożoną. Z góry wypływa źródło i toczy wody swe pomiędzy koniami, co osiódłane stoją pod ścianami skały. Corok w dzień św. Jana, który był najuroczystszy w roku dla pogan, czcicieli przyrody, bo był dniem największego tryumfu słońca i wszech życiodawczych bogów — w ten dzień tajemniczy Blanik otwiera się i rycerze wyjeżdżają poić swoje konie. Pewnego razu jakiś pasterz wszedł do otwartej z niewiadomej przyczyny góry; rycerze zbudzili się i zaczęli pytać: Czy może już czas ruszyć do boju? Wszelako wódz ich, św. Waclaw (a według innych Zdenko Zasmucky), spoczywający wpośród pieczary na wzniesionem miejscu odrzekł im: „Nie, nie nadszedł jeszcze czas, w którym zniweczymy wrogów ojczyzny“. I znowu głęboki sen wszystkich ogarnął. Innym razem wezwano kowala do podkucia koni; w nagrodę za to otrzymał stare podkowy, a gdy przyniósł je do domu, ujrzał w rękach swych... szczerę złoto. To znowu wezwano parobka do wyczyszczenia stajni, a nawóz wywieziony także okazał się złotem.

Często w górze słycać szcęk oręża: to rycerze gotują się do boju. Bój ten zawrze w chwili, gdy wrogowie zaleją ziemię czeską, spustoszą ją ogniem i mieczem, zburzą Pragę doszczętu; gdy odwieczny staw pod Blanikiem krwią się napętni, a uschłe drzewa zazielenią i zakwitną. Wtedy wystąpi wojsko święte, na jego czele wódz na białym koniu z rozpostartym proporcem w rękę; wypędzi on wrogów, ziemię całą od obcego panowania wyzwoli, a po dokonaniu tego znowu z wojownikami swymi na spoczynek do Blanika powróci.

Nie możemy oprzeć się pokusie, by nie przytoczyć odmiany tegoż podania, tak, jak je w pięknej swej powieści *O swicie* Karolina Świetła przytacza. Wprowadza ona tam przesliczny epizod, gdzie mały Prażanin dzieciom z prowincji baśni o miejscowych cudach rozpowiada.

„Woźnica nasz zapewne zapomniał się, pod *Białym koniem*, przy szklenicy dobrego piwa, nie przyjeżdżał po nas, choć już zmrok zapadał i niebo pierwszemi pokrywało się gwiazdami. Wtem nad zmrokiem pojawiła się biaława chmurka, spuszczała się powoli nad wieżę kościelną i unosząc się nad nią, a po kilku minutach rozplynęła się przy gwiazd blasku. Zatrzymaliśmy w sobie dech od wzruszenia, gdy nam Paweł szepnął, że ta biała chmurka to najprędzej siwosz świętego Waclawa, pierwszego patrona czeskiego, śpiącego w grobie u św. Wita. Podobno przyjeżdża on co noc po Waclawa, a ten powstaje w koszuli drucianej, z koroną na głowie, w królewskim płaszczu na ramionach, a trzymając w rękę chorągiew ze staroczeskim orłem czarnym, przejeżdża się po całych Czechach. Podśłuchuje pod każdym domem, gdzie się żalą na krzywdy Czechom wyrządzane, a gdy utrapienia narodu czeskiego będą niedozniesienia, zawoła wojsko swoje, spoczywające w Górze Blanickiej, wyprowadzi je na wrogów i wypędzi ich wszystkich na wieki wieków z kraju. I dopiero wtedy w Czechach będzie dobrze i błogo“.

W bratniej Czechom Morawii lud wierzy, iż księżę Świętopełk (Swatopluk), jeden z władców

krótkotrwałej Wielkiej Morawii, powróci kiedyś do narodu swego. W niektórych miejscowościach istnieje, jak powiadają, obrzęd szukania Świętopełka.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## OSTATNI LIST

skreślił

A. Ch....

(Dalszy ciąg).

W rzeczy samej tak było. Również i siostra moja, czuła Marynia, figurowała, jako narzeczona owego towarzysza pancernego, który zupełnie był o niej zapomniał, bo się zakochał w brance tureckiej; owa narzeczona, już po wojnie, spotyka na granicy młodzieńca z branką. Ta dowiedziawszy się, że jej oswobodziciel już zaręczony, robi z siebie ofiarę i ucieka do swej ojczyzny — Węgier, tłumiąc uczucie, a towarzysz pancerny, w którym, nawiasem mówiąc, Roman sam siebie był odmalował, otrzeźwiawszy z szału, żeni się z narzeczoną swoją. Materiał był dość wdzięczny, lecz nie umieliśmy wyzyskać go należycie, niedoświadczeni zapalenicy, cośmy marzyli, że pierwsza próba twórczości naszej będzie już arcydziełem!

Wskutek wspólnej pracy Roman stał się częstym gościem u nas, niemal członkiem rodziny naszej... Ach, Zenonie! jakże bolesnym jest dla mnie to wspomnienie!

Siostra moja należała do rzędu osób, co nie błyszczą pięknnością, ale zato wdziękiem, sympatycznym wyrazem twarzy pociągają ku sobie wszystkich. Za jedno takie, do głębi duszy przejmujące spojrzenie, wszystko-by człowiek oddał. Od pierwszego dnia poznania Roman już był zakochany... Nie spostrzegłem tego, gdyż, z natury egoista, na siebie tylko zważałem, moje tylko sprawy miały dla mnie wagę. Raz, gdyśmy późno w noc pracowali, Roman rzekł mi nagle:

— Słuchaj! kochasz mię?

— A to dziwne pytanie! Już ciż!...

— A siostrę swą kochasz?...

— Jedno pytanie warte drugiego...

— Wiem... ale... słuchaj! Od ciebie wszystko wyłącznie prawie zależy...

— Co? na miłość Boga!

— Twoja siostra — anioł! — rzekł namiętnie Roman. — Kocham ją, ona mi sprzyja... Czy mi ją oddasz?

— Rozumie się, — odrzekłem, — jeżeli się matka zgodzi...

— Ty tu pono więcej znaczysz, ale sądzę, że i ze strony matki nie będzie przeszkody.

Uściskaliśmy się.

— Więc dobrze! — rzekłem — trzymajmy to w tajemnicy, dopóki nie wystawimy opery, a wtenczas...

Ach Zenonie! obaj byliśmy młodzi, obydwaj marzyliśmy o świetnej przyszłości. Wystawienie opery było dla nas szczytem szczęścia... Odtąd Roman ciągle mówił o Maryni; zauważyłem, że i ona rzeczywiście mu sprzyja, ba! nawet jest zakochana w młodym poecie. Pojmowałem to doskonale. Gdybym był kobietą, zakochałbym się bezwątpienia w sympatycznym Romanie.

— No, mój *Romansie!* — tak go odtąd nazywałem, — urodziłeś się pod szczęśliwą gwiazdą: kochasz się, jesteś kochanym, młody jesteś, przystojny, masz talent, przyszłość przed sobą...

Nie myśl jednak, Zenonie, że tem wyłączałem siebie, lub, że zazdrościłem Romanowi: bynajmniej! Byłem tak dumny, że mi się zdawało niestosownem nawet porównywać się z innymi.

— Prawda! — odpowiedział Roman, — jestem teraz szczęśliwy, tak szczęśliwy, że boję się tego szczęścia: ciągle mi się zdaje, że los przebrał miarę, i że nagle wszystko to utracę...

— Poznaję w tem melancholijno-idealnego poe-

tę, — odpowiedziałem wesoło. — Weź lepiej lutnię do ręki i wypraw serenadę czułą swemu ideałowi, do jakiego podniosłeś Marynię!

Zamiast odpowiedzi Roman przytoczył wiersz Krasińskiego:

I ja też miałem Beatrycze moję!

— No! mój kochany „towarzyszu pancerny“, gdy wrócisz z wyprawy (miałem na myśli naszą operę), wtenczas ożenisz się ze swoją „Beatrycze“, i wszystkie dziwaczne urojenia prysną do — dyabła! Zostaniesz realnym ojcem potężnego grona aniołków, którym ja będę na skrzypcach przygrywał dumki o „Sobieskim“. Poezya zniknie, spowszednieje: będziesz najprozaiczniejszym człowiekiem; piwo będziesz pił, jadł flaki co Niedziela, kilka razy do roku czytał kalendarz — nie więcej, i wreszcie niekiedy chodził *gratis* do teatru, na „Jana III“.

W owym czasie dotknęło nas wielkie nieszczęście: zbankrutował kupiec powszechnie szanowany, który jeszcze za życia ojca wziął był do siebie cały prawie nasz kapitał. Otrzymaliśmy za ledwie jedną piątą część całej summy. Matka moja ze zmartwienia zachorowała. Pocięczałem ją, jak mogłem, i żeby rozweselić, mówiłem, że nas *Jan Sobieski* zbawi, jak ongi Wiedeń, bo prócz sławy mieliśmy też na względzie korzyści materyalne. Należało się śpieszyć. Praca Romana była już na ukończeniu; moja szła mi bardzo mozolnie. Zacząłem więc pracować gorączkowo, zdarzało się nawet nieraz, że wyjątki z utworów znanych mistrzów, przerobiwszy nieco, wcielałem do *naszej* opery... Straszna to była męczarnia, gdy natchnienia brakło. Czuję się zdolnym wysnuć z duszy cudne melodye, tylko snuć czego nie miałem. Natchnienie się zjawiało na chwilę, drażniło i znikało... Czasami zdawało się, że coś wyższego opanowywa duszę, że talent twórczy zjednoczy różne dźwięki w całość harmonijną, że pieśń natchniona zabrzmi; napróżno! Ta walka okropna doprowadzała mnie do zwierzęcego szału. Niekiedy podbudzającymi napojami usiłowałem rozbudzić ducha... Wszystko-by oddał za chwilę prawdziwego, genialnego natchnienia. Wszak całe życie moje jedną myślą przejęte było: stworzyć pieśń obiecana; więc za jedną pieśń taką — połowę życia-byłem dał, a drugą połowę, choćbym ją zresztą przeżył najnieszczęśliwiej, wypełniłaby sława tej pieśni jedynej, tej chwili twórczej, myśl, żem spełnił, co mi spełnić należało, duma, żem raz w życiu geniuszem się okazał! Chwila taka nie nadeszła, nie nadejdzie już nigdy, lub zjawi się wtenczas, gdy ręka osłabiona nie udźwignie już skrzypiec ni smyczka, gdy umysł niezdoła już jej rozpoznać, gdy ukryte siły artyzmu zupełnie już zniechęcą od bezczynności... Zapóźno!

Wreszcie wszystko było skończone i starannie naczysto przepisane. Arya, którą poświęcić chciałem Irenie, weszła w skład opery... Przyшло nam na myśl podwoić dochód, jaki miał przynieść nasz utwór, mianowicie: wydać go jednocześnie z wystawieniem na scenie. W tym celu udałem się z rękopismem do nakładcy, mającego najwięcej wziętości w mieście. Po przeczytaniu w parę dni później, gdy przyszedłem i zacząłem już mówić o cenie, księgarz najspokojniej przewrwał mi, oświadczając, że *Jana III* wydawać nie warto. Oburzony, udałem się do innego, lecz i ten takasamą dał mi odpowiedź; trzeci rzekł:

— Wydaj pan własnym nakładem! Tak mię to rozgniewało, że porzuciłem swój zamiar, albo raczej odłożyłem go na przyszłość, powtarzając sobie w duchu, że po wystawieniu wszyscy nakładcy ubiegać się będą o zaszczyt wydania naszego arcydzieła.

Reżyserya przyjęła *Sobieskiego* bardzo chłodno; zgodziła się jednak, z warunkiem wprawdzie zmodyfikowania pewnych ustępów, wystawić utwór nasz na scenie, lecz honorarium zaproponowała tak niskie, że było ono ironią w porównaniu z górami złota, jakie obiecywaaliśmy sobie obaj. Z niebiosów naszych marzeń ściągnęły nas na ziemię słowa:

— Wielkie jeszcze pytanie: czy się sztuka utrzyma dłużej nad trzy wieczory? A radzę panom, — dodał sługa Euterpy a czciciel Merkurego, — napi-



sać pod pseudonymem zawczasu recenzją do gazet, aby pokierować sądem publiczności. Pomimo to zapewne zbeszta was, jeżeli nie jedno, to drugie *stronictwo gazetarskie*...

— Za nic! — krzyknąłem, — ja miałbym własny nasz utwór zachwalać, jak kupiec nędzny towar! Tego już zanadto!

— Jak panowie chcecie... Ale z tem wszystkim radzę nie tracić odwagi...

— Pieśń janczarów, — janczarowie, — dodał z uśmiechem — a nie Sobieski, mogą was zbawić! Za tydzień ostatnia próba...

Nazajutrz, gdy zamysłony szedłem ulicą Wierzbową, zdala ujrzałem Irenę z matką. Assystował im jakiś młodzieniec, sprawozdawca teatralny jednego z większych dzienników; zalecał się on bardzo do Ireny, która zabiegała jego z dziwną przyjmowała przychylnością. Wprawilo mię to w najgorsze usposobienie; więc zapomniawszy o wszelkiej ostrożności, a nawet słuszności, zacząłem ostro napadać na dziennikarstwo, czem, oczywiście, głęboko zadrasnąc musiałem jednego z jego przedstawicieli.

— Pojmuję jeszcze, — rzekłem ironicznie, — tak zwane organa brukowe: te przynajmniej spełniają swe zadanie — piszą plotki; ale gdy większe dzienniki wysilają się na napuszone artykuły wstępne, to już, pan wybacz, zakrawa na komedię!...

— W takim razie, — odrzekł dziennikarz, — oskarżasz pan całe nasze społeczeństwo...

— A to dlaczego? — spytałem.

— Prassa jest jego wyrazem...

— O! — odpowiedziałem. — Gdyby tak było w rzeczy samej!... Lecz nie zwątpiłem jeszcze tak dalece o życiu, o świecie, o społeczeństwie naszym, abym mógł obojętnie przyznać, że dziś u nas prassa jest naszym „vox populi“...

Tymczasem, ku wielkiemu memu zdziwieniu, Irena stanęła po stronie mego przeciwnika. Do najwyższego stopnia rozdrażniony, nawet do niej przemówiłem cierpko. W przeddzień pierwszego przedstawienia, zaniosłem dla matki i dla niej bilety na operę; przyjaźnie mię powitała, spojrzała mi w oczy z dawnym ogniem i znowu uczułem się jej niewolnikiem uległym.

Ach, cudny był to ranek, Zenonie! Olbrzymie czerwone afisze głosiły o nowej operze; zdala widziałem nasze nazwiska i przechodniów, co je czytali. Jaka to rozkosz! Byłem wiśniewcem niebie; nie wątpiłem, że tryumf *Sobieskiego* będzie zupełny i już marzyłem z „Romansem“ moim o tej chwili szczęśliwej, gdy nas wywołają na scenę. Roman skromnie mi przypisywał powodzenie, jakiego miał doznać wspólny nasz utwór; ja zaś z rzekomo głębokim przekonaniem mówiłem mu pretensjonalnie:

— Ale i ty przyczyniłeś się do powodzenia jutrzejszego... — a głos wewnętrzny mi szeptał, że Roman ma więcej odemnie prawa poszczycić się *Janem III*... Wtem nadbiegł dobry nasz znajomy doktor B\*\*\*

— Patrzcie, czytajcie! — nieszczęście... — i dał mi świeżo wydany numer gazety. W rubryce „Teatr“ przeczytałem przerażony:

„Niesłychane rzeczy dzieją się w naszym Syrenim Grodzie: autor paru nudnych ramot i nieudały koncertant zapragnęli unieśmiertnić siebie — nowem niepowodzeniem, dodać naszej literaturze nowy plód martwy i za pomocą starych szpargałów i wyjątków z powszechnie znanych utworów muzycznych, wytworzyli zlepek, a ozłociwszy go imieniem *Sobieskiego*, puścili kulawego nieboraczka na świat szeroki. Takich kompilacji my nie potrzebujemy, prędko też *Jan III* pojedzie na Powązki artystyczne... Nie można pozwalać, by łapano publiczność naszą na wędkę nowości...“

Dalej następowało wyliczenie wszystkich wad utworu; żaden szczegół ujemny nie uszedł orlego wzroku sprawozdawcy, który, jak widać było, znajdował się na próbie.

— Wyzwę go na pojedynek! — krzyknąłem gwałtownie.

— Kogo? — spytał doktor — wszak nie znasz...

— Wiem doskonale, kto się kryje pod tem „y“, zamiast nazwiska! Byłem przekonany, że to ów dziennikarz... Nie myliłem się: krytykę, zbyt może srogą, ale, jak teraz widzę, na podstawie spra-

wiedliwej opartą, wywołała moja sprzeczką z wielbicielem Ireny. Wiele było prawdy w sprawozdaniu, szczególnie w tem, co się mnie tyczyło, lecz ostry, namiętny ton artykułu kazał się domyślać zemsty osobistej.

— Wyzwę go na pojedynek! — powtórzyłem.

Doktor mię wstrzymał:

— Poco? Pomimo to wszystko sztuka się utrzyma.

Ochłodziłem. Ach, Zenonie! lepiejby było, stokroć lepiej, i dla mnie, i dla wszystkich moich, gdybym był wyzwiał na pojedynek i zginął.

— Pójdę przynajmniej do redakcyi, — rzekłem — Jak ona śmie drukować recenzje przed przedstawieniem!...

— Ale mimo to tryumf będzie zupełny. Redakcyja tylko się skompromittowała! — zauważył Roman.

— Dajmy więc pokój! — odrzekłem. Byliśmy przekonani, że utwór nasz wywoła oklaski; nie więc nie odpowiedzieliśmy na zarzuty. A te jednak wpłynęły na publiczność: teatr, pomimo nowości i szumnej nazwy, bynajmniej nie był zapełniony. Nie traciłem jednak odwagi. Ozwała się introdukcyja; podniesiono zasłonę. Niezmiernie chciało mi się dyrygować orkiestrą; ale „batuty“ nigdy przedtem w rękę nie trzymałem: musiałem więc wyrzec się tej przyjemności; natomiast z Romanem poraz pierwszy znajdowaliśmy się za kulisami. Pierwszy akt, wbrew temu, co się zwykle zdarza i co jest niejako normalnem, był najlepszym, i w tem już tkwiła pomyłka, bo po niezłym początku każdy czegoś lepszego się spodziewa, a gdy nie znajduje, wtenczas gniewa się, i na swoje przypuszczenia mylne i na autora, który zawiódł jego oczekiwania. Słabe „bravo“ ozwało się, lecz było ono przeznaczone dla artystów. Wiele-bo też wad było w utworze: akcyja żadna, dyalogi napuszone a słabe, śpiewy zaś nosiły na sobie cechy pracy, ale nie natchnienia. Główna wina, wyznaję, leżała na mnie: muzyka była monotonna, gdziegdzie razila fantastycznością; były wszędzie przeróbki dość wyraźne znanych powszechnie utworów. W tym względzie Roman i ja sporo nagrzeszyliśmy. W ogóle było to coś bladego, bezkrwistego, nużącego, tak, że widz po przedstawieniu mógł sobie spytać: „Czy byłem, czy też nie? Czy co słyszałem?“ bo wybitniejszego wrażenia nie wynosił z teatru... Nawet owa pieśń janczarów nie zbawiła nas! Z bolesnem uczuciem obrażonej dumy widzieliśmy, że wielu ziewało, inni nawet wychodzili, nie czekając końca, zapewne pod wpływem owej recenzji zabójczej. O, Zenonie, wiele męczarni przecierpeliśmy wtenczas! Po czwartym akcie, po skromnych oklaskach, nagle kilka głosów dało się słyszeć: „Autor! Autor!“ — Idź pan! — rzekł do Romana pierwszy tenor.

(Dalszy ciąg nastąpi)

## ZJAZD PEDAGOGÓW W KRAKOWIE,

XV WALNE ZGROMADZENIE

GALICYJSKIEGO TOWARZ. PEDAGOGICZNEGO

w d. 18, 19 i 20 Lipca 1881 r.

(Dokończenie).

VI.

Byliśmy ciekawi: jak też stoi wykład języka ojczystego w szkołach krakowskich? Exucennice seminaryum wyrażają się wprawdzie dość czysto i swobodnie; zauważyliśmy jednak małe usterki językowe, a zwłaszcza u jednej, która po przeczeniu używała biernika zamiast dopełniacza np.: (nie używamy *ten* przyrząd). Zaciekawiały nas przedewszystkiem ćwiczenia piśmienne. Rzeczbo, doprawdy, dziwna! Już przecież dziś Galicya nie może się skarżyć na wpływ niem-

czynny; a tymczasem usterki językowe, jakie tam spotykamy, dostarczyłyby niemałego materiału dla nowego Skobla. Czytamy np. elegancie ogłoszenia na welinie o „*papierach piśmiennych*“, o „*atramentach w siedmnastu gatunkach*“, o „*pudrach do odświeżania (przez rz)*“ twarzą“. Zdaje nam się, że metoda wykładu języka mimo wielu artykułów odnosnych w „*Szkole*“, mimo dobrych książek do czytania, wydanych przez Radę Szkolną, pozostawia tam jeszcze wiele do życzenia. Z ćwiczeń, nagromadzonych dość obficie, udało nam się wyprosić na własność kilka zeszytów z różnych klas szkoły Wydziałowej i Podwawelskiej; przejrzeliliśmy je skwapliwie w domu i znaleźliśmy dość umiejętności i metody w prowadzeniu ćwiczeń stylistycznych w klassach niższych, nietylko jednak w klassach wyższych. Co prawda, nie widzieliśmy tu ćwiczeń grammatycznych, któreby zawierały zdania i różne szeregi faktów językowych, dla wyprowadzenia z nich prawd grammatyki jak to się teraz robi zazwyczaj. Nie robimy z tego zarzutu: być może, iż ćwiczenia te prowadzą się niezależnie od stylistycznych, a jako mniej starannie przepisywane, nie kwalifikowały się na wystawę.

Temata do ćwiczeń są przystępne i urozmaicone. Ćwiczenia same stanowią: 1) łatwe opisy podług pytań naprzód postawionych (nie znaleźliśmy opisów rycin); 2) „dyktat“ to jest ponaszeru „dyktando“, tudzież 3) pisanie wierszyków z pamięci, która-to robota na to samo prawie wychodzi, co ów „dyktat“. W klassach średnich napotkaliśmy między innymi temata praktyczne, jak np. rachunki, kwity, weksle, świadectwa, prośby. Każdy rachunek powinien być dokładnym: tymczasem znaleźliśmy w jednym takim pozyce: 5 książek polskich 2-ej klasy, 12 książek niemieckich 4-ej klasy, 3 książki literatury, 8 książek historii, 20 książek geografii i t. d. W tymże zeszycie czytamy ćwiczenie pod tytułem „wypowiedzenie“, domyślamy się — mieszkania, poprawione przez nauczyciela czy nauczycielkę i zaszczycone: „bardzo dobrze“. Czy rzeczywiście jest tak bardzo dobrze, niech szanowni czytelnicy z niniejszej kopii osądzą: „Ponieważ mieszkanie na drugim piętrze, składające się z pięciu pokoi, choć zająć na własny użytek, a przez panią dzierżawione, przeto wypowiadam mieszkanie kwartalnie, aby sobie panie poszukały innego“. Tamże znajdujemy temata w takim guście jak „opisanie mineralów“ podług czterech grup, albo „wykaz rozmaitych plodów przemysłu i handlu mieszkańców austriacko-węgierskich w poszczególnych ich krajach“. Sam tytuł jak widzimy jest nieosobliwie sformułowanym i nie nadaje się, zwłaszcza jak w klassie IV, do ćwiczenia szkolnego, ale do schematycznego rejestru. W klassach wyższych zauważyliśmy mało rozmaitości w tematach i mniej jeszcze metodywyprowadzeniu ćwiczeń: skoro w niższych klassach znajdujemy rozkład materji na pytania, to dla czegożbyśmy w klassach wyższych nie mieli znaleźć streszczenia materji, rozkładu jej na części, planu, dyspozycyi? Kończąc uwagi nasze o ćwiczeniach, zaznaczyć musimy staranne ich poprawianie, a także i tę okoliczność, że dzieci poprawki nauczyciela wypisują pod ćwiczeniem, co ma dobrą swoją stronę, byleby nie wypisywały obok (jak to w jednym kaciecie zauważyliśmy) błędów popełnionych, których nie uczyc, ale oduczać należy. Zaznaczamy przytem, że dużo bardzo zamieszania i kłopotu mają uczniowie i nauczyciele z końcówkami przymiotnymi *ym* i *em* w narzędniku i miejscowniku liczby pojedynczej, tudzież *ymi* i *emi* w narzędniku liczby mnogiej. Gdyby grammatyka szkolna przyjęła słuszne wnioski uczonych w tej mierze, zyskałaby znacznie młodzież i ortografia na uproszczeniu.

VII.

Na czwartym kursie w Seminaryum było 46 uczennic (między nimi 4 z Królestwa), wszystkie one zdały examina i uzyskały patenty, co może być dowodem, że z prawdziwem zamiłowaniem oddawały się nauce. Widząc sumienne przygotowanie się i zamiłowanie przedmiotowi, wróżyć możemy tej młodzieży pomyslną w ciężkim, lecz za-



## SZEREGOWIEC

Wspomnienie z 1870 roku

przez

Alfonsa Badin

(przekład z francuzkiego).

szczytnym zawodzie nauczycielskim. W Galicji, gdzie na 100 rekrutów 9 zaledwie czytać umie, stan nauczycielski ma wiele do zrobienia, tem więcej, że kraj jest ubogi, że fundusze na szkołę sejm zmniejszył i jeszcze podobno ma zmniejszyć. Wpłynąć to musi na uszczuplenie intelligencji w stanie nauczycielskim, zmniejszyć musi kandydaturę do tego zawodu, zatamować przyrost bibliotek szkolnych, przyrzadów i pomocy naukowych, bez których szkoła dzisiejsza obyć się nie może. Nie nasza rzecz dawać tu rady, jakby przy tak nieprzyjajnych okolicznościach działać należało, aby nie opóźnić postępu szkoły, lecz owszem posuwać go dalej, w takim choćby, jak dotąd, stosunku. Tem mniej byłyby one potrzebne, że widzimy sprawę na dobrej drodze: na to, co znajduje opór, lub czego nie można dokonać na drodze urzędowej, jest środek w inicjatywie prywatnej, w działalności obywatelskiej. Szkoła, mianowicie początkowa, potrzebuje pomocy prywatnej; rządy nie mogą wypełnić wszystkich jej potrzeb, zwłaszcza miejscowych.

Działalność i zborowa pedagogów galicyjskich, zabiegliwość i energia dyrektorów zakładów naukowych, nie jako urzędników, ale jako kapłanów w sanktuarium oświaty krajowej, jak to widzieliśmy w Seminarium Żeńskim Krakowskim, gdzie tak wiele przyrzadów i pomocy naukowych nagromadzono, gdzie obudzono w młodzieży zapał do wiedzy, zamiłowanie obranego zawodu, — mogą być dobrym dla nas przykładem. Mało się dotąd u nas zastanawiano nad tem: co społeczeństwo nasze w granicach przez ustawę dozwoleń dla szkół zrobiło, i coby mu robić należało? Obojętność intelligentniejszej klasy na szkoły wiejskie, niechęć publiczności do gimnazyów, wcale nie wpływają na wzrost powagi szkoły, na powiększenie jej doniosłości. Wobec tego prywatne przynajmniej zakłady znacznie się rozwinęły; powstały szkoły męskie dla tych chłopców, którzy się do gimnazyów dotrzeć nie mogli; zaznaczyły się niezwykłym przyrostem i rozwojem zakłady naukowe żeńskie. Starano się, tak pod względem urzędowania nowych tych zakładów, jak i pod względem doboru nauczycieli i ulepszenia metod nauczania, odpowiedzieć obecnym wymaganiom szkół. Za przykładem pensyi p. Smolikowskiej, urządzonej w swoim czasie na nowy sposób, zreformowały się niektóre dawniejsze, powstały nowe; z przełożonych zakładów męskich odznaczyli się pp. Wojciech Górski i Eugeniusz Babiński: pierwszy postawił sobie za cel urządzić lokal dla szkoły, odpowiadający wszelkim wymaganiom higienicznemu, administracyjnemu i pedagogicznemu; drugi zgromadził niezmierną ilość pomocy naukowych, które publiczność w czasie ferij zimowych oglądać mogła. Pomyślał nawet pan Babiński o utworzeniu stałego muzeum pedagogicznego. Że muzeum takie jest potrzebne, nikt nie wątpi; już przed kilku laty proponował p. Papłowski, dyrektor Instytutu Głuchoniemych, założenie takiego muzeum, do którego by za małą opłatą uczniowie i uczennice z różnych zakładów, z nauczycielami na experymenta przychodzić mogli. Gdziekolwiek by takie muzeum powstać mogło, pragniemy go jaknajprędzej. Chcielibyśmy tu tylko zaznaczyć, że coinne jest muzeum pedagogiczne, a coinnego zbiór najpotrzebniejszych przyrzadów i pomocy naukowych, od zakupu których żaden zakład naukowy usuwać się nie może. Wiemy zresztą, że zakłady używające wziętości na ten cel niezałatują pieniędzy. Muzeum pedagogiczne większe, zdaniem naszym, ma większe znaczenie dla nauczycieli (zwłaszcza początkujących), niżeli dla uczniów; tak pojmuje rzecz p. Dickstein, przełożony szkoły izraelskiej, i zamierza urządzić przy swej szkole muzeum, w któremby, w oznaczonych godzinach, zasiadali specjaliści i objaśniali przybyłym odnośnie przyrzady i pomoce naukowe, informowali w kwestiach metodyki i literatury pedagogicznej swojej gałęzi. Myśl piękna: czekamy jej wykonania, a więcej jeszcze czekają matki, kochające swe dzieci i chcące je uczyć rozumnie; nauczycielki młode, pojmujące, że do zawodu obranego, przystępować powinny z sumiennem, zawodowem przygotowaniem.

Wieczorem d. 26 Października, zaraz po zamknięciu rady wojennej, rozeszła się głucha wieść, że kapitulacja Metz została postanowioną. Że miasto i twierdza zostaną wydane nieprzyjacielowi z bronią, amunicją i zapasem wojennym, a cała armia pójdzie w niewolę.

Niema w języku ludzkim wyrazu gniewu, żalu, bólesci i oburzenia, jakim biedne miasto zostało przejęte. Metz wydane Prussakom! Metz, które na kartach dziejów francuzkich nosiło dotąd przydomek *L'Invincible, la Pucelle*, Metz miało teraz otworzyć Niemcom bramy swoje! A przytem mieszkańcy przeczuwali już, jaki w takim razie miał ich spotkać los po skończonej wojnie, i czyż to dlatego znosili tak dzielnie, tak bohatercko, niemal tak wesoło, długie i pełne ofiar obłężenie?

W wojsku panowało uczucie inne jeszcze. Iść w niewolę! to, po najwyższym upokorzeniu rozbrojenia i poddania się władzom nieprzyjacielskim, długi rozdział z krajem i smutki, nędze, tęsknoty wygnania, pobyt okrutny i nieokreślony w swoim trwaniu między wrogami. Gdyby przynajmniej liczne walki, rozpaczliwe wycieczki, lub głód i choroby zdzięsiatkowały szereg! Ale nie... Broni i amunicji nie brakło, żołnierz był pełen sił i ducha i mimo to miano zmusić całą armię, aby schyliwszy czoło, oddawała się w ręce nieprzyjaciela, który nie pobił, nie rozgromił jej nigdy! Czyż zmuszały do tego walki pod Grave-lotte, Rézonville, Saint-Privat, Borny, gdzie Prussacy zawsze tył podawali? Wydawano przecież na ich łaskę i niełaskę 173,000 ludzi, z bronią i rynsztunkiem, 85 baterij doskonale obsadzonych działami wałowymi, forty i arsenał, 1,800 paszcz ognistych, i to nie spróbowawszy nawet: czy ratować się nie można, nie wydawszy, nie stoczywszy ostatniej, stanowczej bitwy, więc bez potrzeby, bez racyi!

Rozdrażnienie żołnierzy było nieopisane. Ze wsząd rozlegały się wykrzyki rozpaczliwego gniewu, przekleństwa, złorzeczenia, obelgi miotane drżącymi ustami. A jaki był wyraz twarzy, ogorziałych na wartach i widetach, teraz daremnych, jaka ich bladeść, boleść dzika i posępna, zajmująca miejsce zwykłej francuzkiemu żołnierzowi wesołości!

Nazajutrz zatrąbiono na appel o dziewiątej godzinie zrana i szykowaliśmy się na dziedzińcu koszar w szeregi, po raz ostatni z bronią w ręku. Rozkaz brzmiał krótko: aby każda dywizya złożyła w arsenał miasta broń i ładunki. O kapitulacji, o wydaniu nas — ani słowa... Na placach i ulicach miasta spotykaliśmy różne pułki, czekające na swoje rozbrojenie z bronią w kozłach. Serce ścisnęło się w piersiach na widok tych szeregów dzielnych, kornych, wyćwiczonych doskonale, które za kilka godzin miały się stać z wybornego wojska gromadami ponumerowanych ludzi. W ulicy Serpenoise spotkaliśmy zuawów, stojących jak mur poza piramidami karabinów; brodacze, w szerokich płóciennych spodniach, byli prawie wszyscy starymi wiarusami, z dwoma lub trzema szewronami na lewej ręce, z medalami na piersiach. Milczeli ponuro.

Na Placu Broni zastaliśmy tłumy mieszkańców i gwardzystów narodowych w najwyższym uniesieniu oburzenia, i dalszy pochód stał się trudnym. Między zbitymi gromadami roznamiętnieni mówcy grzmieli głosem piorunującym, rzucając słowa, które paliły jakogień i wzmagaly rozdrażnienie. Straż miejska stała przed odwachem ratuszowym, ponura i cicha, patrząc na coraz liczniejsze i coraz więcej wzburzone tłumy.

W miarę posuwania się naszego krzyki i wzruszenie rosło. Wyrzucano nam, że przyjmujemy

hańbę z pokorą, że się jej poddajemy ulegle. Od wymówek poczęto przechodzić do obelg; wreszcie nastąpił gwałtowny czyn: rzucono się na nas, wdarto się między szeregi i w okamgnieniu wdarto nam broń. Nie stawialiśmy też oporu, rozumieliliśmy uczucie, które wzruszało tłumy; a wreszcie: czyż nie było lepiej oddać broń ludowi francuzkiemu, niż tym, którzy na nią czekali?

W kwadrans potem wybito bramę katedry. Uderzono w wielki dzwon, w który tu bije się tylko na alarm, na klęskę publiczną, w *La Mutte*. Sto rąk szarpało sznury rozpacznie i dzwonienie to szalone, przerażające, zwoływało tysiące za tysiącami. Zbiegano się z najdalszych dzielnic, wzburzenie potęgowało się, z każdą chwilą groźniejsze.

Aż naraz dwóch ludzi — widzę ich jeszcze przed sobą — wdarto się na podnóże posągu marszałka Fabert i okryło go w całości czarną krepą. Posąg wznosi się w pośrodku Placu Broni, i gdy ten całun żałobny okrył go, tłumy jęknęły przerażającym jękiem. Czyż przecież ta, choć tylko kamienna, postać dzielnego patrioty, prawego żołnierza, szlachetnego syna Metz, mogła dziś pozostać bez kiru, czy mogła jeszcze stać, jak dotąd, dumna i uśmiechnięta, gdy rodzinne miasto pograżało się w rozpacz i hańbę niewoli?

Doszedłszy do takiego już wzburzenia, lud począł teraz tworzyć zamiary, coraz-to gwałtowniejsze, szalone. Oficerowie nasi, obłąkani również boleścią, wychodzili z szeregów i mieszali się z tłumem, dowodząc, że obrona jest jeszcze możliwa, że może udać się wielka wycieczka, gwałtowne przebiecie się wojska. Przyklaskiwano im, ścisano im ręce, chwytało ich między siebie; ochotnicy, zbrojni w szaspoty nam zabrane, błagali, aby chcieli stanąć na ich czele i wieść ich na wroga. Zaraz też na miejscu obrano deputacyą, któraby się udała do generała Coffinières, z żądaniem otwarcia im bram miasta. O samym marszałku nikt nie wiedział; zamknął się przezornie w kwaterze głównej, na Ban-Saint Martin.

Nagle ujrano batalion gwardyi, posuwający się z bronią w ręku ulicą *Des Clercs*. Dowódca miasta, uwiadomiony, co się dzieje na Placu Broni, przysłał go, aby przywrócić porządek. Przewidziano, jak to wykazały i inne wypadki, że miasto i część wojska nie podda się tak łatwo, że może nastąpić opór, obrona, i Bazaine zastrzegł sobie roztropnie, że gwardya, której officerów był pewny, zostanie rozbrojoną nastotaku, dopiero 29 rano, to jest po spełnionym już akcie poddania.

Gdy ujrano przednią straż batalionu, który w ścieśnionych szeregach, wolnym, ale pewnym krokiem zbliżał się, głuchy szmer gniewu przebiegł tłumy. Z tego już powodu, że Bazaine liczył na gwardya, nie była ona lubiana przez mieszkańców, i teraz ukazano się jej sprawiło skutek dolania oliwy do ognia. Lud, jak morze bałwanujące się przed burzą, huczał głucho i nie cofał się, wojsko posuwało się, wprawdzie bardzo, bardzo wolno, niemniej zdawało się, że lada chwila przyjdzie do rzeczy okrutnej — do bratobójczego starcia! Ale widok bólesci na obliczach żołnierzy, ich postawy głuchego cierpienia pełne, uderzyły tłum. Jeden młody woltjerz płakał, łzy płynęły mu strumieniem po twarzy i dostrzeżono je, zrozumiano, że tylko karność wojskowa, posłuszeństwo zaprzysiężone sztandarowi trzyma w szeregach tych biedaków, których serca były pełne takichsamych uczuć, jakie wstrząsały piersią ludu, i to, czego nie otrzymanoby przez żaden rozkaz, przez siłę nawet, spełniło się odrazu. Lud począł się cofać na dwie strony — rozdzielony; rozchodził się potem w milczeniu, jak z pogrzebu.

Trzeba dodać, że czas był straszny, deszcz lodowaty, a wzmagając się coraz, siekl twarze i przejmował zimnem do kości.

Ludność nie była jednak ukorzoną, pogodzoną z losem — nie! zawahała się teraz, stała się niepewną: co począć? Namysłano się, czekano na wypadki, odkładano krok stanowczy do jutra.

Wojsko też, które zmieszało się na razie z ludem, powoli, powoli pościągało się do koszar. Plac Broni, tak niedawno kipiący wzburzonym tłumem, tak huczający groźno, stał się wkrótce pustym i zaległo go milczenie. Namiętne bólesci zastąpiła cisza stokroć silniej przygniatająca serce.



Nazajutrz rano, 27, posyłka z głównego sztabu przywiozła rozkaz naszemu pułkownikowi, który właśnie schodził ze schodów na podwórze koszarowe, gdzie ja, sierżant Rivoire i dwóch jeszcze kolegów było ze mną. Widzieliśmy zdaleka, że zrobił ruch gniewny, odprawił szorstko posyłkę i skinął na Rivoire'a, któremu kazał zawołać dwóch najstarszych podofficerów pułku: Blancard'a i Renaudot'a, oraz chorążego Lanquentin'a, z chorągwią.

W jednej chwili gruchnęło po całych koszarach, że, jak wczoraj karabiny, tak dziś odstawią chorągwie do arsenału, że odstawią tam zaraz naszą, aby następnie stała się godłem tryumfu dla armii księcia Fryderyka Karola. W kilka minut główny dziedziniec koszar zapelniał się officerami, podofficerami, tłumem żołnierzy, wszyscy zmieszani razem w jednym uczuciu bólesci i gniewu. Szczególniej dowódca 1-go batalionu, błąd jak ściana, zdawał się szaleć; płakano dokoła, nie ocierając łez, nie wstydząc się łkań, które się wyrwały głucho z piersi starych wiarusów. Otoczono też pułkownika, który chodził przed koszarami tam i napowrót, prędkim, nierównym krokiem.

— Co to? co to jest? Czego chcecie? — zapytał naraz ostro, jakgdyby nie wiedział nic o co chodzić może.

Przez chwilę nikt mu nie odpowiedział i tylko podnosił się jakiś szmer głuchy, aż naraz zabrzmiał wyraźnie głos śmiały:

— Panie pułkowniku, nie chcemy oddać chorągwi; Prusakom, nie oddamy...

— Nie chcecie oddać chorągwi, nie oddacie! — zawołał pułkownik obracając się w stronę głosu. Zbladł ogromnie.

— Tak, nie chcemy! — odpowiedziało natychmiast sto głosów.

— Niech ją przyjdą brać — to dobrze... Niech nas wydadzą, niech nas mordują, ale pókiśmy żywi i cali — nie oddamy...

— Panowie! — rzekł pułkownik broniący się też wzruszeniu — rozkaz jest formalny, ja nie mam prawa, ja nie mogę brać tego na odpowiedzialność moją...

W tej chwili chorąży Lanquentin przybył z chorągwią i, jak wymagała służba, stanął przed pułkownikiem frontem, mając podofficera Blancard'a po prawej, Renaudot'a po lewej stronie. Na ten widok, na widok tego kawałka jedwabiu, podartego pod Borny przez kule niemieckie, wzruszenie wszystkich stało się szaleńcem. Prośby, błagania wzrosły, ciśnięto się, wyciągano ręce; każdy chciał całować tę szmatę drogą, za którą ludzie szli w ogień, biegli na śmierć. Biedny pułkownik mienił się, bladł, drżał, miał rozpacz we wzroku, aż naraz ochryplym głosem zawołał: — Noża!

Sierżant Bourgeois podał mu swój duży, mocny nóż składany, z błyszczącym ostrzem, które otworzył, a pułkownik, wyrwawszy nagle chorągiew z rąk chorążego, oderznął ją szybko od drzewca i rękami, które drżały, począł ją drzeć na kawałki i rzucać pomiędzy zebranych, w namiętnie gorączkowym uniesieniu. Żaden z tych płatków drogich nie padł na ziemię, chwytano je w powietrzu, pułkownik zaś znalazł w sobie jakąś siłę olbrzymią, bo począł z kolei łamać o kolano drzewce chorągwi i rozdał trzaski.

Gdy skończył, wyprostował się i rzekł do dowódcy 1-go batalionu, oraz innych starszych officerów pułku:

— Panowie, pójdźmy teraz do generała brygady.

Generał mieszkał o kilkaset kroków, na placu Friedland; pułkownik milczał przez całą drogę; aż stanąwszy przed generałem, który siedział przy biurku i zajęty był podpisywaniem papierów, rzekł:

— Generale, zniszczyłem chorągiew mego pułku!

Głos mówiącego brzmiał silnym wzruszeniem i generał porwał się z krzesła. — Zniszczyłeś chorągiew, pułkowniku! — zawołał przerażony.

— Czyś pan nie odebrał rozkazu, gdzie ją należało złożyć? — dodał po chwili.

— Odebrałem rozkaz, ale m zniszczyłem...

— Sacredieu!... — zawołał generał, — zniszczyłeś...

Nastąpiła minuta milczenia, poczem generał rzekł nagle:

— Zdam rapport naczelnemu wodzowi, tymcza-

sem zaś, pułkowniku, aresztuję cię. Pozostaniesz w koszarach aż do wyższego rozkazu. Żegnaj panów.

Wyszli wszyscy, ale drzwi gabinetu generała otworzyły się zaraz potem i on sam ukazał się na progu.

— Pułkowniku! — zawołał.

Spotkali się we drzwiach i generał poszukał ręki pułkownika, którą uściśnął w milczeniu, potem odwrócił się szybko, rzucił na krzesło przy biurku i począł tak gwałtownie podpisywać podsuwane mu przez adjutanta papiery, że aż pióro trzeszczało!

Dzień ten przeszedł w koszarach nie tak rozpaczliwie, jak poprzedni. Zdawało nam się, żeśmy dokonali ważnego obowiązku i to ulżewało nam smutku. Teraz już jakoś mniej wstydu, mniej hańby ciążyło na nas, gdyśmy wiedzieli, że w Potsdamskim pałacu króla Wilhelma nie zawieszają naszej chorągwi. Zaspiając wieczorem, prawie nie mogliśmy wierzyć, że to już ostatni dzień wolności skończył się dla nas.

Zato przebudzenie się było tem okrutniejsze. Ledwo zaświtał szary dzień jesienny, przyszedł ze sztabu rozkaz, abyśmy byli gotowi do wymarszu w południe. Drugi korpus, do którego należał pułk nasz z całą mieszaną brygadą Lapasset, miał się udać drogą Magny-sur-Seille do wioski Saint-Thiébaud, gdzie czekali nas Prusacy. Wolno nam było zabrać rzeczy osobiste, tornistry i worki pułkowe, namioty, kołdry, kociołki i tym podobne rzeczy. Wszystkie było porządnie wypisane.

Teraz był to już koniec tragedii. Trzeba przyznać, że aż do tej chwili mieliśmy w duszy jakąś nieokreśloną nadzieję. Liczyliśmy, że coś zajdzie, coś się pokrzyżuje i przyniesie zmianę. Obecnie już nie można było spodziewać się niczego, jeszcze kilka godzin, a będziemy niewolnikami!...

(Dalszy ciąg nastąpi)

## ADOLF ERYK NORDENSKJÖLD

### I ODKRYCIE PÓLN.-WSCHODNIEJ DROGI PODBIEGUNOWEJ

według prof. J. Gerlanda w Strasburgu.

Imię Adolfa Eryka Nordenskjölda rozbrzmiewa po całym świecie, nie tylko w Szwecji, ojczyźnie Nordenskjölda, i w Rosyi, której odkrycia słynnego podróżnika najwięcej zapewniły korzyści; ale zarówno w Anglii, Francji, Niemczech i Austrii: wytworzyła się już osobna literatura o nim. Nordenskjöld wraz z towarzyszami odbył prawdziwy pochód tryumfalny przez Europę, powracając do ojczyzny.

Czyż jednak inni odkrywcy, tak u bieguna, jak pod równikiem, nie dokonali dzieł równie wielkich, czyż nie wycierpieli więcej jeszcze od Nordenskjölda? Czyż tyle już narodów nie wysyłało wypraw do bieguna północnego i nie oglądało ich powrotu — z kąd właśnie ta niezmierna cześć dla Nordenskjölda? Są to pytania, wywołane tą niesłychanie mnożącą się literaturą i temi oznakami powszechnego uwielbienia, nad którymi zastanowić się jest obowiązkiem właściwej wiedzy. Co odkryła a zatem i zdziałała wyprawa Nordenskjölda?

W ogólnych zarysach relacye, które dotychczas ogłoszono, dostarczają nam tyle materiału, że możemy już dzisiaj wydać pewien sąd o wartości i doniosłości tych odkryć; podstawami, na których nasze uwagi oparliśmy, są przedewszystkiem sprawozdania z podróży, zamieszczone w znanych: *Mittheilungen* Petermanna z r. 1878; dalej *Lettres de A. E. Nordenskjöld, avec une preface par M. Daubrée* (Paris, 1880); dzieło Al. Leslina, o podróżach podbiegunowych Nordenskjölda, w angielskim i niemieckim wydaniu (1880); sprawozdanie kapitana Palandra, kommandanta „Vegi“, w *Blackwooda Edinburgh Magazine* (*The North-East Passage*, 1880, Marzec) i szereg publikacyj drugorzędnego zna-

czenia. Publikacye te, jakkolwiek wszystkie oparte na oryginalnych sprawozdaniach Norden-skjöld'a, przesyłanych na ręce gotenburskiego kupca Dr Oskara Dicksona, nie są w szczegółach jednobrzmiące: chcąc dotrzeć do rdzenia prawdy i wytworzyć sobie dokładny obraz wyprawy, potrzeba je nawzajem uzupełnić.

#### I.

Już w najodleglejszych wiekach ludzkości napotykały wspólne grupy idei i wyobrażeń, pokrewieństwa w urządzeniach i kształtach życia, których tożsamość obudza podziw w dzisiejszym badaczu; na dalekich obszarach kuli ziemskiej znajduje on pokrewne rysy duchowe. Te podobieństwa opierają się na jednakim rozwoju uzdolnień i samejże istoty ludzkości, na tożsamości najważniejszych czynników życia, które na człowieka oddziaływały. Trudnijszem do wytłómaczenia jest to, że i dzisiaj, wśród społeczeństw ucywilizowanych, napotykały szeregi wyobrażeń naukowych i poglądów na życie, które, niedostrzeżone w początkach, porywają nagle za sobą wszystkie narody. Zasługują one tembardziej na uwagę, iż czasami stanowią jedyny, czasami najważniejszy, węzeł łączący ludzkość. Co zapewnia tym ideom panowanie i rozprzestrzenienie się? Z kąd pochodzą? Możliwość sądzić, że rodzą się nagle, niewiedzieć z kąd? A przecież tak nie jest.

Znane to zdanie, iż wielkie wypadki rzucają długi cień przed sobą, zanim się pojawiają na widnokręgu. Tożsamo stosuje się do wielkich, światowładnych idei. Tu leży klucz do psychologicznego ich zrozumienia. Nowe myśli, budzące się wśród świata, nowe czyny, wiążą się ściśle ogniwami z całym rozwojem postępowym ludzkości, jakoteż z oddziaływaniem świata zewnętrznego na zdobyty poziom cywilizacyjny, jakkolwiek niektórzy, szczególnie bystro i wcześniej rozwinięte umysły, wygłaszają te nowe idee pierwej, zanim one wzbijają się do potęgi wszechwładnych czynników życia dziejowego — częstokroć niejasno i błędnie, ale ze zdrowym ziarnem wewnątrz.

Na dwie rzeczy potrzeba tutaj zważać: po pierwsze: iż żadne z takich słów, przedwcześnie wypowiedzianych, nie ginie marnie; ludzkość przechowuje je, jak rola ziarno, aby rozwinęły się w swoim czasie; po drugie: ludzkość sama jest najsurowszym sędzią swoich idei. Nie zważa ona na jednostkę, która pierwsza wypowiedziała to lub owa; jednostka znaczy tutaj tak mało, jak wogóle w rozwoju całości cząstka; znaczenie idei polega tylko w rozumnej sile, którą ona sama się utrzymuje. Tak Newton idee o ciężeniu ciał, dawno przygotowywaną i niejasno wygłaszaną już przed nim, mógł wypowiedzieć z łatwością, z jaką jabłko strząsamy z gałęzi. I to bowiem, co zdaje się z nieba spadać, jest powolną i żmudną zdobyczą pracy ziemskiej; tylko że przebieg tworzenia się usuwa nam się w tym razie z przed oczów.

Uwagi takie przychodzą na myśl, gdy się spotkamy oko w oko z jedną z podobnych zdobyczy ducha ludzkiego. Należy do ich rzędu wyprawa Nordenskjölda. Jest ona także ostatnim słowem usiłowań i prób, zatrudniających ludzkość od trzech wieków. Anglik, nakłoniony przez Włocha, rozpoczął to dzieło; Hollendrzy i Rosyjanie prowadzili je dalej; Szwedowi udało się spełnić cywilizacyjne marzenie stuleci.

Nordenskjöld i Palander podają sami najważniejsze szczegóły historyczne wypraw do północnego bieguna. Słynny wenecki znawca morza, Sebastyan Cabot, jako przewodniczący angielskiej *Company of Merchant Adventures*, która nazwała się potem *Muscovy* albo *Russia-Society*, podał pierwszy myśl uzbrojenia trzech okrętów, celem wynalezienia północnej drogi morskiej do Chin. Wyruszyła ona w r. 1553 pod sterem sir Hugh Wiloughby, Ryszarda Chancelor'a i kapitana Durlougha. Ale zanim dopłynęli do Koli, umarł już sir Hugh, a z nim większa część towarzyszy; wyprawa, zaczęta tryumfalnie, powróciła w rozprężeniu i ruinie. Cały szereg ponownych wypraw urządziła „Kompania rosyjska“ w latach 1555, 1556 i 1580, wszystkie pelżyły jednak bezowocnie; kończyło się tylko na bliższym rozpozna-



niu Nowej Zemli. Następnie urządzili Hollendrzy, którym wśród ustawicznych wojen z Hiszpanią i Portugalią wiele zależało na znalezieniu łatwiejszej przeprawy morskiej do ich wschodnio-indyjskich posiadłości, trzy z kolei słynne wyprawy pod sterem Barents'a, którego imię tak często dzisiaj ze czcią się wspomina. Barents przezimował swem na północnym cyplu Nowej Ziemi, wprawili współczesną mu Europę w zdumienie, ale pożądanego celu i on nie osiągnął. Umarł, nie dotarłszy poza pierwsze fale morza Karyjskiego. Teraz odziedziczył ciężkie zadanie żeglarz, „który lepiej od wszystkich innych rozumiał sztukę morską, którego odwaga wielokrotnie stwierdzoną, a pilność była nieustrudzoną“: Henryk Hudson. Wypłynął on w r. 1607 będąc w służbie „Kompanii rosyjskiej“ na morze Północne, dotarł do 82° 1), w następnym roku osiadł i on jednak wśród lodowców Nowej Ziemi; w r. 1609 z polecenia Hollenderskiej Wschodnio-indyjskiej kompanii usiłował powtórnie utorować sobie drogę na północny wschód przez morze Karyjskie, ale piętrzące się niebotycznie lody, powstrzymały go powtórnie. Raz jeszcze potem w służbie angielskiej mocował się Hudson z nieubłaganą potęgą przyrody i znalazł w tej bohaterskiej walce zgon tragiczny.

Bezowocnymi były i późniejsze wyprawy Hollendrów, pod dowództwem Maya i Bosmana (w r. 1611 i 1625), pomimo, iż ci ustrzegli się pomyłek poprzedników; nastąpiła długa przerwa, owoc tyłu rozczarowań. W r. 1676 dopiero wypłynął w północno-wschodnim kierunku John Wood; pomimo jednak, iż do wyprawy przygotował się gruntownymi studiami historyczno-przyrodniczymi, rozbił się o brzegi Nowej Ziemi. Rachuby nie pomogły wobec żelaznej ręki przeznaczenia.

Zaniechano więc wypraw w kierunku północno-wschodnim; a zwłaszcza Karyjskie Morze popadło w najgorszą sławę, odkał uczeni i żeglarze rosyjscy, pomiędzy nimi admirał Lütke i K. E. von Baer, uznali, iż morze to nie da się przebyć. Pomimo tego Hollendrzy, polujący na konie morskie, i rybacy rosyjscy w ciągu XVII i XVIII wieku niejednokrotnie krążyli wśród jego lodowych zatorów; w ostatnich już nawet czasach norwudzkie rybołówstwo rozgościło się tutaj na dobre.

Uboższe są wiadomości o podróżach przedsięwziętych na terytorium wschodniej Syberii do ujścia Leny i cieśniny Behringa. Rosyjanie wyjeżdżali nieraz w te strony; Nordenskjöld wylicza kilka naukowych wypraw rosyjskich; — nie miały one jednak na oku szerszych naukowych celów, a zwłaszcza wielkiego geograficznego zagadnienia: opłynięcia drogą północno-wschodnią azjatyckiego lądu; podejmowano je w interesach miejscowego handlu, z pobudek polityczno-statystycznych, celem nareszcie poznania obszaru, gleby i wytworów jej w północno-wschodniej Syberii.

Wszakże i one stwierdziły niekiedy cywilizacyjną potrzebę: wynalezienia drogi morskiej u bieguna północnego; nareszcie odkrył ją na czele wyprawy szwedzkiej Adolf Erik Nordenskjöld, Finlandczyk, zamieszkały z powodów politycznych w Szwecji.

On i towarzysze jego osiągnęli przeto cel, nad którym trzy potężne mocarstwa przez trzy stulecia pracowały bez plonu. Wysoka wartość, jaką tyle i tak odrębnych pokoleń instynktowo do urzeczywistnienia tego dzieła przykładało, objaśnia należycie doniosłość odkrycia. Wszakże i sposób, w jaki Nordenskjöld spełnił swoje wielkie zadanie, przynosi mu prawdziwą chlubę. Zwycięstwo jego jest tryumfem nauki, niemniejszym, niż odkrycie Neptuna przez Leverrier'a i Galle'go. Nordenskjöld pierwszy wskazał ścisłą metodę, jakiej nowoczesna nauka o ziemi trzymać się powinna i co, dążąc tą drogą, zdziałać zdoła.

Jak Hollendrzy w XVII wieku korzystali z owoców współczesnej wiedzy, jak John Wood plany swoje osnuł na pasmie teoretycznych rozumowań, tak i Nordenskjöld, oparty na nieskończone bogatszych wynikach i środkach umiejętności, dłu-

gim szeregiem gruntownych studiów przygotował się do zmierzania trudności dzieła, ujarzmiając całą potęgę praktyczną dzisiejszej wiedzy geograficznej ku dopięciu założonego sobie celu. Przedewszystkiem poznał on drogą ściśle umiejętną, w jaki sposób należy obchodzić się z przedmiotem swoich badań, z ziemią arktyczną. I tak widzimy go, jako 26-letniego geologa; w r. 1858 towarzyszem a w r. 1861 współdowódcą, wyprawy Torella do Szpitzberga; w r. 1864 jest już on samodzielnym jej kierownikiem; w r. 1868 na czele innej wyprawy, wspólnie z Palandrem, dociera powyżej Szpitzberga do 81° 42'; 1870 studiuje w Grenlandyi ustrój i naturę lodowców; zima r. 1872 zastaje go znowu w Szpitzbergu. Teraz dopiero wyrusza dalej na wschód; w r. 1875 kieruje wyprawą naukową do Nowej Ziemi, przepływa Morze Karyjskie i dociera do ujścia Jeniseju, a w r. 1876 powtarza tę samą wyprawę.

Widzimy, że nie próżnował. A co w tyłu żmudnych podróży na miejscu spostrzegł i zbadał, tego nie omieszkał po powrocie do rodzinnej ziemi przyswoić niezwłocznie teorii naukowej. Przedewszystkiem cennymi są pod tym względem jego sprawozdania z podróży; następnie cały szereg specjalnych prac geograficznych, geognostycznych i meteorologicznych, mapa Szpitzberga, astronomiczne oznaczenie miejsc, objaśnienia t. z. meteorytów z Oviak, które uważa za ziemnowulkaniczne masy, prace o t. z. pyłe kosmicznym, o kopalnej florze Północy.

Wszystkie te trudy naukowe uzupełnia i wienczy ostatnia jego podróż na Wschód i otwarcie nowej drogi geograficznej wzdłuż północno-syberyjskiego wybrzeża. Przyspiesza ono i umożliwia rozwiązanie całego szeregu naukowych zagadnień; specjalne prace uczonych, którzy Nordenskjöldowi towarzyszyli, dowiodą tego niebawem. Ale i ten szczególny wdzięk, którym tchnie historia wyprawy, ma swe źródła w tych właśnie studiach; najbardziej może bowiem zachwyca nas w tej rzeczy pewna, że tak powiemy, elegancja w wykonaniu dzieła. Podejmując jedno z najtrudniejszych zadań, możliwości rozwiązania jego dowiodzą teoretycznie, skutek wyprawy w najdrobniejszych niemal szczegółach przepowiadają; budując okręt, jaknajściślej do wymagań podjętego zadania zastosowany, podobnie, jak się wyrabia narzędzie, służące do fizykalnego doświadczenia; następnie podejmują podróż, która znowu, jakby fizykalne doświadczenie, rozwija się wedle planu punkt za punktem obrachowanego i przynosi szereg zwycięstw, na które nieochybnie liczone! A czegoż to w tym „experymentcie“ nie wzięto w rachubę! Jeżeli nazwiemy geografią nauką o wzajemnych oddziaływaniach sił ziemi, natenczas musiano wpród obliczyć i wymierzyć cały obszar tych sił, a więc powietrze wodę, ustrój lądów, bieg strumieni, rozdział ciepła i t. d. Na wszystko to zwrócił uwagę Nordenskjöld. „Nie chodzi tylko o to“, mówi on w jednym z listów, „aby w okolicy jeszcze nieznannej stwierdzić obecność pewnej liczby form zwierzęcych i roślinnych, albo oznaczyć ogólne ukształtowanie geologicznej budowy; następująca się pytania daleko wyższego, umiejętnego porządku“. Potrzebował wskazać tylko okoliczność, iż cieśnina Behringa, jako wązki, łatwy do przebycia kanał rozdziela dwa lądy: stary i nowy, że jest ona jedynym ogniwem dwóch oceanów. „...Szczególne okoliczności nadają niezmierną wagę badaniom tych okolic pod względem etnograficznym, geologicznym, zoologicznym, botanicznym i hydrograficznym. Czy wybrzeża cieśniny Behringa są resztkami przedwiekowego pomostu pomiędzy obu lądami; czy też pomost taki wytwarza się dopiero obecnie? Czy syberyjskie morze lodowe było w starożytności morzem śródziemnym, które w nowszej dopiero epoce się otwarło, albo też zatonęło Oceanu Spokojnego, dążąc obecnie do zamknięcia się w morze śródziemne? Czy cieśnina Behringa dzieli od siebie dwie odrębne strefy życia roślinnego i zwierzęcego? Na którym z obu lądów znajduje się centralny punkt wyjścia i krystalizacyjne jądro obu tych grup odrębnych roślinno-zwierzęcych? Jestto szereg pytań dla historyi ziemi, dla poznania istoty jej niezmiernie ważnych, a dla rozwiązania ich Nordenskjöld

podjął się zebrać materiały. W jakikolwiek sposób odpowiedzą na nie geografowie: to nateraz rzeczą obojętną; ważnem jest raczej to, w jakim duchu zostały przez Nordenskjölda postawione. Odkrycia „Vegi“, które taki pożytek przyniosły handlowi i żegludze, nabierają właściwej doniosłości dopiero w obliczu kwestyi umiejętnego zbadania ziemi, jakkolwiek Nordenskjöld w sprawozdaniach swoich korzyści praktyczne na pierwszy plan zwykł wysuwać.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## DROBNE LISTKI.

Modrzejowska ukończyła w londyńskim Pałacu Kryształowym seryą przedstawień pożegnalnych, w ciągu których szczególnie rolę Julietty i Frou-Frou, ścigały jej najwięcej oklasków i uznania, tak publiczności, jak i prasy.

Znakomita powieść amerykańskiego pisarza Fenimora Cooper'a „The Spy“ nigdy nie przestarzała i wiecznie piękna dla szlachetnie czującego czytelnika, została przerobiona we Francji na dramat w pięciu aktach i siedmiu obrazach pod tytułem „Le Patriote“. Przedstawiają ją w Paryżu w teatrze „Gaité“ przeciw ze średnim tylko powodzeniem.

Dzieła Walter-Scotta mają wyjść w Anglii w bardzo taniej i na czytanie ludowe obliczonej edycji, ale skrócone i obcięte, zapewne pozbawione tych przepięknych obrazów natury i obyczajów średniowiecznych z ich poetycznym romantyzmem i bujną oryginalnością nieprzemacerowanego jeszcze przez cywilizacyjną człowieka, z których geniusz szkockiego pisarza tworzył arcydzieła. Osobą, której pióro porywa się na nie, jest wielce płodna i niejakiej sławy w dziedzinie powieści sensacyjnej używająca pisarka, miss Bradon. Posiada ona prócz żywej wyobraźni i pewny smak artystyczny, trzeba się też dziwić, że na żądanie wydawcy odważa się na tę przeróbkę, która jest smutną cechą epoki. Angielska prasa czyni uwagę, że pięćdziesiąt lat temu w każdym domu szkockiego rzemieślnika i farmera powieści i poezje Walter-Scotta znajdowały się obok Biblii i nie potrzeba było na to edycyi, dającej, jak obecna, tom za 2 pensy, ani popularyzowania ich przez autorkę *Sekretu lady Audley*.

Tennyson pracuje obecnie nad nowym dramatem, którego przedmiot jest historyczny, z czasów Henryka VIII.

Zona Szeika Damaszku, z narodowości Angielka, lady Digby, zakończyła życie na dalekim Wschodzie, porównywana przez prasę londyńską z *Królową Palmyry*, Esterą Stanhope; wielka przecież różnica istnieje między temi dwiema kobietami. Lady Stanhope, osobistość oryginalna, szlachetna i wyniosła, przez naturę niepodległego ducha pokrewna z Byronem, podobnie jak on, nie mogła znieść ciasnych więzów tej arystokracji angielskiej, która wtedy dławiała każdy poryw samostny, kuła umysły i serca w dyby formulek, w kajdany sztywnej etykiety. Jak nasz Rzewuski, „Emir Złotobrody“ z którym spotkała się i zawarła przyjaźń serdeczną, rzuciła się już pełnoletnią dziewczyną na Wschód, między ludy pierwotne, unosząc w pustynie Palmyry serce czyste i nieskalane; gdy lady Digby, rozwódka, po burzliwej młodości w Europie zapragnęła zmiany, i zamykając poza sobą przeszłość, zwróciła się ku Wschodowi. Bogata, i podobno jeszcze świeża i piękna, poszła za Szeika Damaszku, dosięgając lat pięćdziesięciu; lecz cokolwiek możnaby było mówić przeciw niej niegdyś, stała się teraz cywilizatorką poddanego jej plemienia Arabów, dobroczynnym słońcem oświaty, które rozpedzało wkoło siebie mrok ciemnoty, przesądów i nędzy. Gdy tamta, biedna, samotnie zestarzała marzycielka, zamknęła zmęczone oczy, cała liczna jej służba, wszyscy lennicy odbiegli jej, rozrywając pozostałe skarby, opuścili ciało wśród wielkiego, grupą pysznych pałaców wznoszącego się seraju, darowanego niegdyś królowej Palmyrskich pustyń przez

1) Niema na to żadnych dowodów, aby Hudson dotarł do 82° powyżej Szpitzberga i kanału Kennedego, a na wysokość Ziemi Józefa Franciszka. (Przyp. Red.)



baszę Sydonu; aż dopiero angielski konsul z Beyrutu i misjonarz amerykański pośpieszyli pogrzebać zwłoki w ulubionym jej gaju myrtów i tamarind. Grób pozostał wśród opustoszałej oazy, nieuczczony przez lzy niczyje; gdy tymczasem lady Digby, przeżywszy na Wschodzie lat 25, więc sędziwa już i syta życia, opuściła świat ziemski wśród honorów i wielkiego żalu tych, co ją otaczali. Szczęśliwsza i nawet więcej zasłużona, choć grzesniejsza, bo — mocniej o grunt ziemski oparta...

**Wykopaliska** ofiarowane przez Schliemanna miastu Berlinowi i złożone świeżo w jego muzeum, a wydobyte jakoby z pod gruzów Troi, stały się obecnie przedmiotem sporu dla starożytników niemieckich, tak wątpliwych o ich autentyczności, jak już poprzednio wątplili o niej uczeni francuzcy. Schliemann, rozkopując wyniosłość, którą za posadę starożytnego Ilionu uważał, trafił, jak pismo nasze już donosiło, na siedm miast, położonych jedno ponad drugim, i z tych trzecie od dołu za gród z czasów homerycznych uznawszy, znalezione tam przedmioty za wykopaliska Trojańskie ogłosił i tej wiosny w Muzeum Berlińskim je złożył. Wtedy Dr Brentano z Heidelberga napisał książkę pod tytułem: „Zur Lösung der Trojanischen Frage“, w której, opierając się na badaniach uczonych niemieckich, dowodzi, że niema na to żadnych poważnych dowodów, aby owo trzecie miasto, lub którekolwiek z pomiędzy siedmiu odkopanych przez Schliemanna, miało być Troja; gród ten oczekuje dotąd na odkrywcę i wskrzesiciela swego, aby po śmie wiekowym wywiódł go znów na światło dzienne.

**Falszerstwo** świeżo odkryte w Atenach narobiło tam wiele hałasu. Wieśniak z okolic Hymetu, widząc jak stare pomniki sztuki poszukiwane są i cenne, kupił w Atenach u młodego, mało znanego rzeźbiarza, ucznia szkoły sztuk pięknych, posąg Dyany-łowczyni i zakopał go w ziemię na czas dość długi, aby marmur nabrał potrzebnych cech starości; potem zarządził rozkopywania w celach pozornie gospodarskich i wy dobył znaleziony niby posąg, który podróznik angielski nabył od niego, prawie natychmiast, za znaczną sumę pieniędzy. Ale rzecz doszła do uszu okolicznego żandarma; ten na zasadzie pierwszeństwa, jakie państwo ma do wszystkich wykopalisk starożytnych, skonfiskował marmur i odesłał do Aten, gdzie grono uczonych archeologów uznało go za dzieło sztuki bardzo starożytnej. Muzeum narodowe przyjęło zatem skarb mniemany, o którego pochodzenie poczęto się już sprzeczać, gdy nagle jakaś drobna okoliczność odsłoniła prawdę.

**Nowy posąg Dziewicy Orleańskiej** został świeżo wzniesiony w małym francuzkiem miasteczku Crotoy sur Somme. Przedstawia on bohaterkę w postawie siedzącej, już uwięzioną, w łańcuchach. Henryk Martin, historyk a obecnie i senator, szlachetny nasz, jak i wszelkiej wzniosłej idei, przyjaciel, miał mowę przy odsłonięciu posągu i oświadczył przytomnym, że grono ludzi dobrej woli postanowiło oznaczyć szeregiem posągów całą długą drogę chwały i męczeństwa wielkiej zbawczyni Francji, poczynając od rodzinnej jej wioski, Domrémy, aż do Rouen, gdzie popełniono na niej okrutną zbrodnię morderstwa. Następnie przemawiał literat Labitte i podnosił w słowach gorącego uznania patriotyzm ludu Pikardyi, który, poczynając od XIV w., aż do czasów ostatniej wojny, do bitwy pod Longré, świadczył o sobie nieprzerwanie. Mówca zakończył tem, że jeżeli dotychczasowem hasłem tej ucziwej ludności było zawsze: — „Praca, wolność i ojczyzna!“ dziś należy połączyć z niem okrzyk drugi: „Chwała Francji! Całość i nierozzerwalność jej ziemi!“

**Pamiętkowa tablica** z białego marmuru została umieszczoną w Paryżu na domu, w którym umarł Béranger. Ulica nosi już jego nazwę, a dom oznaczony jest numerem V; napis brzmi: „Śpiewak piosenek, Jan Piotr Béranger, urodzony w Paryżu 1780 r., umarł w tym domu d. 16 Lipca 1857 r.“.

**Najpoczytniejsza książka** z ostatnich lat 25, to jest taka, której rozeszło się najwięcej exemplarzy, znalazła się w literaturze francuzkiej i nie jest nią romans Zoli, jak niektórzy przypuszczali z góry, ale dziełko religijne: „Notre-Dame de Lourdes“. Redakcja jakiegoś angielskiego dziennika czyniła te oryginalne poszukiwania.

**Regestra uniwersyteckich studiów w Prusach** okazują zaciekawiającą szczegółność. W zeszłym roku szkolnym przybył znaczny procent (21 na 100) studiujących teologią; inne fakultety zyskały również pewien przyrost studentów, wyjąwszy wydział prawny, który zaznacza się stale ubytkiem. Przypisują to niechęci do zawodu urzędniczego.

**Ruch pocztowy** w 1879 roku był wedle wykazów statystycznych następujący:— Na całej kuli ziemskiej poczty przyjęły i wysłały 4,900 milionów listów i kart korespondencyjnych, co czyni 13 milionów listów, kursujących każdodziennie. Europa gra w tym ruchu pocztowym rolę największą, gdyż na jej dział przypada 4,481 milionów listów; Ameryka miała ich 1,245 milionów; Azja 173 miliony; Afryka 11 milionów; Australia 36 milionów. Druki i annonse kupieckie nie wchodzą tu w rachunek.

**Szczególny dar** uczyniła niedawno królowa angielska kuzynce swojej, księżniczce Fryderyce Hallowerskiej, obecnie małżonce barona Pawel-Rammingen; dała jej na dożywotnie używanie dochódów krzak winogrodu, znajdujący się w ogrodach Hampton-Court-Palast. Krzak ten został zasadzony w 1769 r., ma zatem obecnie lat 112, wysoki jest na stóp 90, przecięciowo wydaje rocznie 1,500 gron. W r. 1874 miał ich 1,750, że zaś każde grono tego pysznego wina warte jest co najmniej gwineję (25 franków), dochód z owego krzaku winogrodu mógł stanowić dar królewski. Jest on największym na świecie; z pochodzenia należy do gatunków wina niemieckiego „Schwarzer Hamburger“.

**Zjawisko w dziedzinie ornitologii** przedstawia kanarek, wychowany w Anglii, w miejscowości Serapsgate, przez miejscowego skotarza; wymawia on wyraźnie i zrozumiale nie tylko pojedyncze słowa, lecz zdania całe, co niekiedy czyni śpiewając; przecież wyrazy brzmią lepiej i czysiej, gdy je mówi tylko.

**Biały słoń**, znaleziony w Czerwcu tego roku wśród lasów Królestwa Siamskiego, napełnił radością kraj cały, który widzi w tej rzadkiej odmianie słonia wcielenie bóstwa. Kiedy dano znać do stolicy państwa o cudzie, król i dwór cały wraz z wielkim kapłanem wyjechali naprzeciw zwierza, wiedzionego wśród processyi wielotysięcznego ludu, aby go wprowadzić uroczyscie do miasta i poświęconego mu pałacu; co też odbyło się przy odgłosie muzyki i śpiewów radosnych, ze współudziałem parady wojskowej. Białe bóstwo kroczyło drogą zaslaną kwieciami; król wraz z kapłanami towarzyszył mu pieszo, a gdy pochód zatrzymał się wreszcie na miejscu, król włożył na słonia oznaki władzy królewskiej i nakazał ustanowionej przy nim służbie oddawanie mu odpowiednich honorów. Słoń ten będzie jadał odtąd na złocie i porcelanie.

**Olbryzi szafir**, wartujący 14,900 rupij złotych, znaleziony został na wyspie Ceylon, w prowincyi Ratnapura.

Edison, uczony wynalazca lamp elektrycznych,

chcąc rozpowszechnić w Anglii oświetlenie elektryczne, zastosowane do użytku domowego, zaproponował właścicielom kilku sklepów w najbogatszej dzielnicy Londynu, na West-End, bezpłatne zaprowadzenie i przez sześć miesięcy utrzymanie lamp swego wynalazku.

**Oświecenie wodospadu Niagary** światłem elektrycznym sprowadzało tego lata, nie tylko z Ameryki, liczne tłumy ciekawych, podziwiających widok rzeczywiście czarowny. Siła światła była tak potężną, że dosięgała ono aż do wodospadu zwanego Horseshoe-Fall i przenikało gęste tumany mgły, z pary rozprysniętych wód powstałe, oświecając w cudowny niemal sposób okolice i sąsiednie wodospady, huczące dziko porohy; reflektory, umieszczone naprzeciw wodospadu Niagary, sprowadzały niepodobne do opisanie efekta światła, przedstawiając zadziwionemu oku, jakgdyby nieprzeliczoną liczbę olbrzymich kolumn z żywego srebra.

**Początek paryskiej klaki** jest historyczny i pochodzi z czasów nieszczęśliwej Maryi Antoniny. Dnia 24 Kwietnia 1776 r. miało być wystawione poraz pierwszy w teatrze Opery Paryskiej, znakomite dzieło Glucka: *Alcesta*, a królowa bardzo przychylna mistrzowi i uwielbiająca jego operę, życzyła jej silnie powodzenia, którego jednak pewną być nie mogła, nie wiedząc, czy poważna, w wysokim klasycznym tonie trzymana muzyka, przypadnie do gustu Paryżan. Więc zwróciła się z prośbą o poparcie do dwóch szwagrów swoich, młodych wtedy książąt: hrabiego Prowancyi (Ludwik XVIII) i hrabiego d'Artois. Aby przecież nie myłono się przy biciu oklasków i odznaczono niemi najpiękniejsze miejsca sztuki, królowa podkreśliła je w libretto, które to zakreślenia hrabia d'Artois przeniósł na kilkanaście innych exemplarzy i rozdał między młodych panów dworu z wiadomością, że królowa prosi o zwrócenie na nie szczególnej uwagi. Piękna królowa była uwielbianą przez całą młodzież dworską; więc postanowiono zapewnić operze możliwie największe powodzenie i w tym celu panowie dworscy porzucając swe zwykłe fotele, w rzędach pierwszych zajmowali miejsca we wszystkich stronach i kątach teatru, z kąd następnie elektryzowano publiczność oklaskami, i powodzenie *Alcesty* było ogromne. Później już dyrektor opery użył tegosamego środka dla następnie wystawionej sztuki *Enée et Didon*, zastępując złotą młodzież dworu przez płatnych już klaskaczy i odtąd klaka stała się zwyczajem i klęską teatrów paryskich.

## Sprostowanie.

W Nr 39 *Bluszczu*, na str. 307, w łamie trzecim w przypisku, w wierszu czwartym od dołu, niewłaściwie wstawiono datę roku „1876“ po wyrazach: w *Przew. nauk*.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się początek powieści pod tyt.: **Warto się namyśleć**.

Ogłoszenia do **BLUSZCZU** przyjmuje wyłącznie kantor agenturowy **BERNARDA BERSOHN** w Warszawie przy ulicy Nowy-Świat Nr 67.

**TREŚĆ.** Pieśni wieczorne, (poezya), przez Maryą Konopnicką. — Podania o śpiących rycerzach, przez Bronisława Grabowskiego. — Ostatni list, (dalszy ciąg), przez A. Ch..... — Zjazd pedagogów w Krakowie, (dokończenie), przez Wł. Nowickiego. — Szeregowiec, wspomnienie. — Adolf Eryk Nordenskjöld, według professora J. Gerlanda. — Drobne listki.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 22 Сентября 1881 года.